

Przedziwne zrządzanie losu

Zawsze fascynowała mnie fantastyka. Podróże międzygwiazdne, roboty, cyborgi, zmniejszanie ludzi, podróże w czasie. Doskonale pamiętałem treść książek A. Nortona¹, C.D. Simaka² czy też W. Jeschke'a³ i I. Asimowa⁴, P. Boullé'a⁵ lub R. Frakesa⁶ oraz M. Krüger⁷. Najbardziej jednak zafascynowały mnie książki G.H. Wellsa *Wehikul czasu* oraz Bohdana Korywieckiego *Przez ocean czasu*. Lubilem także książki o tej tematyce autorstwa M. Twaina⁸ i L. Sprague de Campa⁹. Podróżować w czasie, odkrywać nieznaną przeszłość – to zapewne było marzenie wielu ludzi, w tym także i moje. Nigdy nie sądziłem, że może się ono ziszczyć i że ja także mogę stać się podróżnikiem w czasie.

Jak się ta cała historia zaczęła? Ano zupełnie naturalnie, jakby to było coś zupełnie zwykłego. Jednak jeszcze dzisiaj przypominam sobie dokładnie ten dzień, w którym los był dla mnie łaskawy, ukazując mi niezwykle zjawisko, które mną wstrząsnęło do głębi i odmieniło życie moje i moich przyjaciół. Ni stąd, ni zowąd okazało się bowiem, że istniała zupełnie naturalna możliwość dokonania bezpiecznego przeskoku do innego czasu, do innej teraźniejszości, do czasu naszej przeszłości lub przyszłości, i bezpiecznego powrotu stamtąd.

Przez całe moje życie mieszkalem w Warszawie, którą opuszczałem tylko w okresie wakacji i ferii, a potem także w czasie urlopu. Urodziłem się na warszawskiej Pradze, którą dobrze poznałem w latach dzieciństwa. Po zdaniu matury odbyłem dwuletnią służbę wojskową w kilku jednostkach, później ukończyłem Uniwersytet Warszawski i po uzyskaniu magisterium pracowałem w kilku różnych instytucjach, coś tam pisałem i coś tam tworzyłem. Byłem dwukrotnie żonaty, lecz małżeństwa moje nie były udane. W tym okresie kilkakrotnie się przeprowadzałem. Mieszkalem na Pradze, Muranowie, Natolinie, żeby osta-

¹ Andre Norton: *Handlarze czasem, Galaktyczne pustkowia, Klucz do czasu, Skrzyżowanie czasów, Operacja poszukiwanie czasów*

² Clifford D. Simak, *W pułapce czasu*

³ Wolfgang Jeschke, *Ostatni dzień stworzenia*

⁴ Isaac Asimow, *Koniec wieczności*

⁵ Pierre Boullé, *Planeta małp*

⁶ Randall Frakes, *Terminator 2 – Dzień sądu*

⁷ Maria Krüger, *Godzina pąsowej róży*

⁸ Mark Twain, *Yankes na dworze króla Artura*

⁹ L. Sprague de Camp, *Yankes w Rzymie*

tecznie osiąść na Ursynowie. Bardzo lubiłem książki, dużo czasu zajmowały mi treningi sztuk walki, w lecie obozy, wędrówki górskie oraz inne zajęcia sportowe.

Po rodzicach odziedziczyłem małe gospodarstwo rolne w okolicach Halinowa pod Warszawą, gdzie spędzałem soboty na wiosnę i w lecie, a czasami też i niedziele. Gospodarstwo moje zajmowało dość duży teren, przedzielony w połowie wiejską drogą. W jego ogrodzonej części znajdował się nieduży sad, a poza ogrodzeniem młody las, który kończył się rzeką Długą i stawami rybnymi należącymi do PZW¹⁰. Z drugiej strony drogi rozciągały się łąki i ziemia uprawna, którą wydzierzałem sąsiadowi. Na farmie, jak nazywałem moje gospodarstwo, był wzniesiony mały drewniany domek, stojący na palach, które obudowane deskami, tworzyły sporą piwnicę. Miałem tu dużo miejsca dla siebie, a po przeprowadzonym rozwodzie nie miałem zbyt wielu zajęć domowych, dlatego przyjeżdżałem na farmę, gdzie nikt mi w niczym nie przeszkadzał.

Byłem samotnikiem, nie miałem zbyt wielu kolegów i życie moje ograniczało się do pracy zawodowej, pracy na farmie oraz wyjazdów w czasie urlopu. Czasami uczestniczyłem w treningach, dużo spacerowałem, odwiedzałem muzea, czytelnie, biblioteki i księgarnie, czasami szedłem do kina lub zaglądałem do syna, który się już usamodzielniał. Pracowałem sobie zatem spokojnie w ogrodzie, uprawiałem warzywa, doglądałem sadu i ta monotonia trwałaby zapewne dłużej, gdyby nie zrządzenie losu. Otóż dbając o mój stan posiadania, zmuszony byłem któregoś dnia zabezpieczyć i odremontować budynek, a to wiązało się w pierwszej kolejności ze zrobieniem porządków w piwnicy. Wyrzucając zalegające w niej przedmioty, w najodleglejszym kącie pomieszczenia piwnicznego, pod stertą zapomnianych rupieci, zupełnie niespodziewanie natknąłem się na zakurzoną, kilkilitrową szklaną butlę.

Butla wykonana z masywnego szkła leżała tu sobie zapewne od niepamiętnych czasów, a może i dłużej, ponieważ mój ojciec lubił gromadzić z różnych źródeł zupełnie zbędne rupiecie, które wywoził później z piwnicy swojego domu w Warszawie do Halinowa, kiedy to już zbudował na działce domek. Mój ojciec pracował jako pracownik cywilny w saperskiej jednostce wojskowej, czasami też dostawał lub kupował jakieś rzeczy z demobilu, które przynosił do domu. Poza tym jego hobby było gromadzenie przeróżnych przedmiotów, bez zastanawiania się, czy były mu potrzebne, czy też nie. Na „długowieczność” wydobytego na światło dzienne naczynia wskazywał także jego stan – butla była niesłychanie zakurzona, brudna, poczerniała i jak zorientowałem się, czymś wypełniona, ponieważ była wyjątkowo ciężka. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że szklane naczynie jest może zamieszkałe przez dżina, i sam roześmiałem się z tego skojarzenia. Coraz bardziej zaciekawiony, odkorkowałem z trudem butlę i zajrzałem do środka. Rzeczywiście, coś tam było, jakaś stwardniała substancja. Zapach

¹⁰PZW – Polski Związek Wędkarski, największe stowarzyszenie wędkarzy w Polsce i jednocześnie największy rybacko-wędkarski użytkownik wód śródlądowych w Polsce.

wydobywający się z naczynia nic mi nie mówił, poza tym nie dało się ono opróżnić z wymienionego wyżej powodu.

Wyniosłem ostrożnie naczynie na zewnątrz i przyniosłem je do pompy w celu umycia. W chwili kiedy myłem ścianki zewnętrzne, usłyszałem nagle sygnał mojego telefonu komórkowego. Zostawiłem więc naczynie i pobiegłem do domu. Później zajęty rozmową zupełnie o nim zapomniałem i zająłem się czyszczeniem i segregacją wcześniej znalezionych przedmiotów. Dopiero po pewnym czasie, idąc z wiadrem do pompy po wodę, ze zdziwieniem spostrzegłem, jak nad otwartą szybką ustawioną przy niej dużej butli tworzą się jakieś białe, ledwo widoczne opary, a powietrze nad otworem wlotowym lekko drży. Zaciekawiony tym zjawiskiem odstawiłem wiadro i podszedłem do butli, usiadłem obok niej i zacząłem dokładnie obserwować zachodzący proces. No tak, nie pomyliłem się, rzeczywiście coś się tu działo, wyglądało to na jakiś rodzaj gazowego oparu, który wnikał do otworu butli.

W tej sytuacji bałem się wziąć naczynie do ręki, lecz nie przerywałem obserwacji. W pewnej chwili opary przestały się tworzyć, lecz w zamian po jakimś czasie w otworze butli objawiła się żółto świecąca kula o średnicy około siedmiu centymetrów, która oderwała się od naczynia i falistym ruchem, tuż nad ziemią, odpłynęła gdzieś w głąb sadu. Zerwałem się przestraszony i odbiegłem od butli, obserwując z bezpiecznej odległości ognistą kulę. Jej lot nie trwał długo, ponieważ po krótkiej chwili zderzyła się z pniem odległej czereśni, co objawiło się nagłym rozbłyskiem i towarzyszącym temu cichym trzaskiem wyładowania elektrycznego. Świecąca kula znikła raptownie, a do mnie dotarł zapach ozonu. Teraz już bez obawy mogłem podejść do drzewa i obejrzeć dokładnie jego pień. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że drzewo nie zostało zbyt uszkodzone, co świadczyć mogło o tym, że wyładowanie nie było dostatecznie silne lub że jego energia spłynęła po pniu do ziemi. Analizując całe to zdarzenie, doszedłem do wniosku, że nosiło ono wszelkie znamiona dość rzadkiego zjawiska atmosferycznego zwanego piorunem kulistym. O ile mi wiadomo, przyczyny jego powstawania pozostały do tej pory nie w pełni wyjaśnione. Ni stąd, ni zowąd przebiegła mi przez głowę śmieszna myśl, że być może przeniknął on do naszego świata z zupełnie innego wymiaru lub przestrzeni.

Nie śpiesząc się, wolnym krokiem powróciłem teraz do naczynia i ku mojemu zaskoczeniu zauważyłem, że proces jego ładowania rozpoczął się ponownie. Stojąc nieopodal butli, patrzyłem z zaciekawieniem na wciąż gęstniejące pasma mgiełki wpływające do wewnątrz. Zacząłem podejrzewać, że wpływ na ich powstawanie miała zawartość naczynia, która w nieznanym sposobie pobierała energię z otoczenia.

Zafascynowany zachodzącym zjawiskiem zastanawiałem się teraz pośpiesznie, jaką to cudowną substancję zawierała butla? Skąd napływała energia do naczynia, przecież widziałem, że nie było żadnego bezpośredniego zasilania? W jaki sposób przebiegał sam proces ładowania, jak tworzył się później piorun

kulisty i czy teraz także się utworzy? Na te pytania cisnące mi się do głowy nie znalazłem od razu odpowiedzi i ich brak jeszcze długo później nie dawał mi spokoju, natomiast w chwili obecnej, zaabsorbowany zjawiskiem, nadal obserwowałem dokładnie naczynie, chcąc chociaż w przybliżeniu rozwikłać niezwykłą tajemnicę. Na wszelki wypadek odsunąłem się trochę. Stojąc tak w oddaleniu i obserwując zachodzące zjawisko, czułem jednocześnie, że znajduję się na progu jakiegoś doniosłego odkrycia, które może odmienić moje dotychczasowe życie. Z tego powodu byłem tym zdarzeniem tak bardzo przejęty. Po upływie godziny smugi kondensacyjne znikły, wyglądało więc na to, że naczynie ponownie naładowane jest energią. Postanowiłem to sprawdzić i ewentualnie rozładować butlę. W tym celu potrzebny był mi drut, bowiem gdyby utworzył się ponownie piorun kulisty, to mógł uderzyć w dom mój lub sąsiada. Przestraszony tą wizją, rozpocząłem zatem poszukiwania w moim gospodarstwie, co zostało wkrótce uwieńczone sukcesem. W piwnicy udało mi się znaleźć trzymetrowej długości gruby drut miedziany. Następnie jeden jego koniec wbiłem głęboko w ziemię, a drugi przy pomocy dwóch kijów wepchnąłem w szyjkę butelki. Gdy tylko drut wsunął się głębiej w naczynie, rozległ się trzask wyładowania elektrycznego, po czym jaskrawy, niebiesko-ognisty wąż spłynął po drucie do ziemi, a rozchodzący się w powietrzu zapach ozonu oznajmił mi, że operacja rozładowania tego, jak przypuszczałem, kondensatora czy też akumulatora zakończyła się sukcesem.

Wyjąłem teraz drut, obejrzałem go i zauważyłem, że był jeszcze lekko ciepły i nadtopiony, samą butlę pozostawiłem na miejscu. Jednakże już po pół godzinie nad szyjką naczynia pojawiły się nowe smugi kondensacyjne, które wpływały do wnętrza. Czyżby to miało świadczyć o tym, że proces ładowania powtarza się? Na szczęście miałem w domku małą neonówkę – były to takie małe żaróweczki, które świeciły się z różnym, w zależności od mocy pola energetycznego, natężeniem – odszukałem ją w szufladzie i przyniosłem do butli. Gdy zbliżałem się do naczynia, neonówka zaświeciła się już jasno w odległości dwóch metrów od niego, co mnie bardzo zaskoczyło i zdziwiło. No to mam problem, pomyślałem sobie.

Obserwowałem nadal butlę i zauważyłem, że po upływie kolejnej godziny smugi przestały wpływać do jej wnętrza, co sugerowało, że nastąpiło naładowanie kondensatora. Wiedziałem jednak, jak mogę to sprawdzić i przy tym rozładować naczynie. Gdy się zbliżałem do niego, neonówka już w dużej odległości zaświeciła się jaskrawym blaskiem. Ponownie wepchnąłem patykiem drut w szyjkę butelki. Gdy tylko to uczyniłem, pojawił się błysk wyładowania, a jego ognisto-błękitna smuga spłynęła po drucie w ziemię. No tak, teraz już rozumiałem, jak to się wszystko odbywa, jednak miałem dosyć doświadczeń na dzień dzisiejszy, zatem po ostatecznym rozładowaniu się naczynia wzięłem je ostrożnie poprzez grube rękawice, należycie zamknąłem i uszczelniłem stearyną ze świeczki. Postawiłem je później na kostce trylinki i z zadowoleniem zauważyłem, że po zamknięciu i uszczelnieniu proces ładowania ustał samoczynnie.

Jednak dzisiejsze wydarzenie nie dawało mi spokoju i stale zastanawiałem się, jaką substancję zawiera naczynie i co wchodzi w jej skład?

Moi rodzice od dawna już nie żyli i nie miałem nikogo, kogo mógłbym zapytać o zawartość przechowywanej na działce butli. Dlatego też skład substancji był dla mnie przez dłuższy czas tajemnicą i upłynęło wiele, wiele czasu, zanim rozwiązałem do końca tę zagadkę. Jednak, zgodnie z moim pierwszym przypuszczeniem, dzień, w którym odkryłem tę butlę z jej niezwykłą zawartością, odmienił moje dotychczasowe życie.

W celu rozwikłania tajemnicy samoladującego się kondensatora prowadziłem w kolejnych, wolnych od pracy dniach dalsze eksperymenty na mojej farmie. To miejsce było bezpieczne i nikt mi tu nie przeszkadzał w mojej pracy badawczej. Jak też doświadczalnie ustaliłem, w szklanym naczyniu kondensowała się energia o dużej mocy, a butelka z przemienioną przez lata leżenia substancją działała jak samoladujący się kondensator. Długo się zastanawiałem, skąd brała się ta energia? Ze zdobytych w źródłach naukowych informacji wynikało, że niezwykle potężne prądy o natężeniu milionów amperów pojawiają się w jonosferze podczas burz magnetycznych. Takie zdarzenia z kolei wzbudzają nowe prądy w skorupie ziemskiej, które błędzą później we wszelkich materiałach przewodzących prąd elektryczny. Mogą to być szyny kolejowe, kable komunikacyjne, rurociągi, a wreszcie i przewody trakcji elektrycznych, a może jeszcze coś innego. Przecież jak dowodził Däniken¹¹ w swoich książkach, w zapisanych sanskrytem hinduskim rękopisie pracy *Vaimanika Sastra* odkryto informacje opisujące prehistoryczną technikę latania, w którym mówi się, że ówczesne pojazdy latające (*vimany*) posiadały zamontowane odgromniki chroniące maszyny od uderzeń pięciu rodzajów piorunów, a przecież obecnie znane są chyba tylko dwa takie wyładowania: piorun i piorun kulisty. Wynikało zatem z tego niezbicie, że elektryczność i magnetyzm są objawem tej samej siły, a Ziemia pełna jest elektryczności i magnetyzmu. W starożytnych Chinach nazywano to ziemskie promieniowanie magnetyczne smoczym prądem. W tej sytuacji mogło być wielce prawdopodobne, że to te prądy i magnetyzm Ziemi były źródłem energii zasilającym kondensator i stanowiły rozwiązanie mojej zagadki.

Przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem o takim niezwykłym akumulatorze w książce braci Strugackich *Piknik na skraju drogi*. Jeszcze inny rodzaj kondensatora zdawała się stanowić Arka Przymierza, która także była naładowana nie wiadomo skąd pochodzącą elektrycznością i tylko Mojżesz i niektórzy kapłani wiedzieli, jak ją przemieszczać i otwierać. W Internecie natomiast znalazłem pobieżny opis urządzenia zwanego MEG¹² (*Motionless Electromagnetic Gene-*

¹¹Erich Von Däniken, *Szok po przybyciu bogów*

¹²MEG (*Motionless Electromagnetic Generator*) – urządzenie, którego działanie zbliżone jest do działania *perpetum mobile*.

(<http://infojama.pl/112,artykul.aspx>); The MEG – “Motionless Electromagnetic Generator” from Tom Barden

rator), którego działanie zbliżone było do działania *perpetuum mobile*. Urządzenie to, nieposiadające żadnej części ruchomej, uruchomione jednorazowo za pomocą dostarczonej energii elektrycznej, samo stawało się małą elektrownią, wytwarzającą prąd z otaczającego naszą planetę pola magnetycznego.

Jeśli tak było w istocie, to sprawa energii znikąd by się wyjaśniła, a to, że się kondensowała w butli, było spowodowane przez znajdującą się w niej substancję. Zastanawiałem się teraz, czy możliwe jest skonstruowanie kondensatora, który działałby w taki sposób jak ta butelka? Zagadnienie to zafascynowało mnie do tego stopnia, że zacząłem prowadzić eksperymenty nad jego budową.

Dzięki zleconej i przeprowadzonej analizie chemicznej odkryłem skład niezwykłej substancji magazynującej energię. Jak się okazało, butla zawierała związki różnych metali wymieszane w jakichś nieprawdopodobnych proporcjach, które później z wielkim trudem odtwarzałem. Ojciec mój przez wiele lat wlewał coś do naczynia i odstawiał je w kącie, by później znowu dolewać coś lub wylewać z niego jakieś inne substancje. Wymieszane w ten sposób składniki weszły ze sobą w reakcję chemiczną i w taki oto zupełnie przypadkowy sposób został stworzony materiał stanowiący główny składnik samoladującego się kondensatora. Zauważyłem przy tym, że zmiana proporcji składników zwiększa lub zmniejsza energochłonne właściwości nieznannej substancji.

Ostatecznie po upływie dwóch lat udało mi się zbudować zupełnie udany kondensator, chroniony grubą osłoną ceramiczną, który ukryłem w małym, zamkniętym na zamek drewnianym pudle. Urządzenie, jak sprawdziłem, było bezpieczne dla człowieka. Prace nad budową tego kondensatora prowadziłem korzystając z pomocy różnych prywatnych zakładów i warsztatów, które wykonywały zlecone im części do projektowanych przeze mnie urządzeń. Konieczne doświadczenia i testy prowadziłem natomiast w wolnym od pracy czasie na terenie mojego gospodarstwa, w miejscu odosobnionym i dobrze ukrytym w małym lesie nad rzeką.

W kolejno prowadzonych eksperymentach sprawdziłem, że raz załadowanej energii elektrycznej starczało na bardzo długi okres, było to jednak napięcie rzędu kilku do kilkudziesięciu milionów volt, przy dość wysokim, sterowanym ręcznie przez transformator natężeniu. Otwarcie kondensatora powodowało jednak tworzenie się pioruna kulistego o dużej mocy, który musiałem skierować do ziemi. Zastanawiałem się, czy ten kondensator będzie można zamienić na pewien rodzaj akumulatora i czy zgromadzoną w naczyniu energię będzie można wykorzystać do oświetlania i ogrzewania mojego domku? Niestety, mimo wielu doświadczeń i prób nie udało mi się wykorzystać budowanego urządzenia do tego celu. Napływająca znikąd do kondensatora energia co prawda magazynowała się w nim, lecz jej właściwości nie dawały możliwości stworzenia akumulatora pozwalającego na pobieranie jej w sposób ciągły i wykorzystanie do zasilania zwykłych urządzeń elektrycznych; także jej moc była zbyt duża. Zbudowałem kilka takich kondensatorów, starając się zachować wszystkie zaobserwowane warunki,

i nadal prowadziłem eksperymenty, chcąc uczynić ten wynalazek przydatny do jakichś moich celów. Próbowałem także zasilać naczynie z sieci elektrycznej, ale nie dawało to spodziewanego efektu, po prostu nie tworzył się piorun kulisty. Nie wiem, na czym to polegało, może moc takiego źródła była zbyt mała albo substancja wypełniająca pojemnik nie reagowała właściwie z takim źródłem zasilania. Ostatecznie udało mi się zbudować urządzenie łączące w sobie cechy kondensatora i akumulatora i z tego powodu nazwałem je konlatorem.

Następnym moim zupełnie przypadkowym odkryciem było zaobserwowanie faktu, że małe naczynie o podwójnych, odpowiednio skonstruowanych ściankach, powleczonych nowo odkrytą substancją, znika w pewnych sprzyjających okolicznościach po doprowadzeniu do niego energii z konlatora, po to tylko, aby pojawić się w tym samym miejscu za kilka sekund. Mogło to oznaczać, że naładowane naczynie staje się na pewien czas niewidzialne lub że przemieszcza się w czasie albo znika w innej przestrzeni. To spostrzeżenie dało mi wiele do myślenia i z tego powodu postanowiłem tę sprawę dokładnie przeanalizować, wykonując dla tych celów całą masę nowych doświadczeń.

Orientowałem się, że istnieje kilka hipotez związanych z możliwościami cofnięcia się w czasie; niektóre z nich bazują na tzw. tunelach czasoprzestrzennych, gdyż zgodnie z teorią grawitacji Einsteina każdy obiekt posiadający masę lub energię powoduje zakrzywienie przestrzeni wokół siebie. Być może i w tym wypadku zachodziło podobne zjawisko.

Do określenia zjawiska podróży i przeniesienia w czasie używa się terminów naukowych. Pamiętam, jak wyczytałem w powieści Bohdana Korewickiego *Przez ocean czasu*¹³, że „podróże w czasie są możliwe dzięki rozszczepieniu neutrina na negatrina i pozitrina. Przyspieszanie negatrinów wywołuje chronoregresję, czyli cofanie się w czasie, a przyspieszanie pozitrinów – chronoprogresję”. Jednak posługując się językiem prostym – podróżowaniem w czasie określa się przemieszczanie obiektu w czasie do przodu lub do tyłu, w sposób zbliżony do przemieszczania się w przestrzeni. W kręgach naukowych trwają podobno dyskusje na ten temat, lecz o ile mi wiadomo, nie udowodniono nigdy, iż podróż w czasie jest niemożliwa, pewne jednak było, że zbudowanie takiego urządzenia przekracza obecne możliwości techniczne. Przerzucając w Internecie strony wyszukiwarki, udało mi się dotrzeć do gazety *Boston Globe*¹⁴ i opublikowanego w niej wywiadu z profesorem Ronaldem Malletem, fizykiem z University of Connecticut, który uważa, że jest w stanie zbudować wehikuł czasu. Z wywiadu wynikało, że chociaż teoretycznie, istniała jednak jakaś potencjalna możliwość zbudowania maszyny do przemieszczania się w czasie.

¹³Wydawnictwo Nasza Księgarnia, Warszawa 1957, tom I

¹⁴Gazeta *Boston Globe* opublikowała wywiad z profesorem Ronaldem Malletem, fizykiem z *University of Connecticut*, który uważa, że jest w stanie zbudować wehikuł czasu. (<http://niewiarygodne.pl/gid,11255151,img,11255160,kat,1017185,page,2,title,Znany-fizyk-twierdzi-ze-podroze-w-czasie-sa-mozliwe,galeriazdjecie.html>)

Na podstawie kolejnych doświadczeń, wykorzystując przy tym właściwości niezwyklej substancji, sporządziłem imitujący takie niezwykle naczynie małe, kilkudziesięciocentymetrowej wysokości wielowarstwowy namiot z jedwabiu i z dobranego doświadczalnie materiału o specjalnych, sprawdzonych właściwościach, który powleczone z zewnątrz metalem był odporny na ścieranie i uszkodzenia mechaniczne. Kolejne płachty namiotu wewnętrznego nasycone zostały nową substancją, która była częściowo odmienna od tej używanej do budowy konlatora. Po stwardnieniu stanowiła ona wystarczająco grubą, metaliczną i elastyczną wewnętrzną powłokę. Przestrzeń pomiędzy kilkoma ściankami namiotu została wypełniona neutralnym gazem – helem, który był pod ciśnieniem wypuszczany specjalnym przewodem z butli. Gaz ten mógł być odzyskany poprzez pompowanie do dodatkowej komory powietrza przy pomocy pompy lub małego przenośnego kompresora zasilanego baterią, które wypychało hel z powrotem do butli.

Hel, stosowany przy wytopie i spawaniu niektórych rzadkich metali, okazał się niezbędny przy budowie wehikułu czasu jako gaz go ochraniający. Ze wszystkich gazów szlachetnych atmosfera ziemskiego gazu tego zawiera najwięcej i z tego powodu był on w miarę tani, gdyż cena jednego metra sześciennego nie przekraczała w owym czasie około siedemdziesięciu złotych.

Podczas działania aparatury wehikułu energia z konlatora, poprzez transformator i specjalny rozdzielacz, miała przepływać przewodami umocowanymi do izolowanych płacht namiotu, powleczonych odkrytą substancją. Tworzył się wtedy z małego pioruna kulistego magnetyczno-energetyczny bąbel, wypełniający wewnętrzne ściany namiotu. Zauważyłem przy tym, że przy pełnym dopływie energii, dostarczanej doświadczalnie w pierwszym okresie prób z sieci elektrycznej, wydzielano się wewnątrz namiotu zielonkawe światło, niewidziane na zewnątrz z powodu jego szczelnej pokrywy. Występowanie poświaty miało związek z zastosowaną powłoką ochroną wehikułu. Pobudzone polem elektrycznym gazy szlachetne świecą bowiem różnymi kolorami, w zależności od zastosowanego gazu. Tym samym obecność helu w powłoce ochronnej objawiała się żółtym czy też lekko zielonym światłem. Sprawdziłem doświadczalnie, że nie było ono szkodliwe dla istot żywych. Wewnętrzne ściany namiotu, w tym także podłoga, były także izolowane przy pomocy specjalnie dobranej tkaniny, zapewniając tym samym bezpieczeństwo osobom i przedmiotom znajdującym się wewnątrz. W taki właśnie mozolny sposób powstawał specjalny pojazd czasoprzestrzenny, który poprzez tunel czasowy powinien umożliwić mi przerzucanie istot żywych oraz ładunku do innego wymiaru czasowego, a może też i do innego świata równoległego.

Okazało się jednak, że mimo iż używałem prądu o napięciu 375 woltów, dostarczana z sieci energia miała zbyt małą moc, aby stworzył się taki bąbel. Musiałem zatem użyć stworzonego przeze mnie konlatora o małej, lecz dostatecznej dużej mocy, zależnej od proporcjonalnego składu zawartej w nim sub-

stancji energetycznej. Po wielu niepowodzeniach udało mi się także zbudować specjalną aparaturę pomiaru czasu i dopływu energii do tworzącego się między ściankami obu namiotów, wewnętrznej i zewnętrznej, bąbla magnetyczno-energetycznego. Nie było to trudne, ponieważ raz rozpoczętego procesu rozładowania się pioruna kulistego nie można już było powstrzymać, można go było jednak spowolnić lub przyspieszyć, w zależności od zmagazynowanych zasobów energii w konlatorze. Aby osiągnąć sukces, musiałem składać zamówienia na projekty i wykonanie dla mnie wielu istotnych detali. Części te nie zawsze się sprawdzały w pracy projektowanych urządzeń, co powiększało koszty całego przedsięwzięcia, ponieważ musiałem zamawiać i wypróbować coraz to nowe. Podczas wielokrotnie przeprowadzanych eksperymentów udało mi się jednak pokonać te wszystkie trudności i ostatecznie zbudować namiotowy wehikuł, przemieszczający się w przestrzeni i w czasie. Okazało się też, że zaprojektowana aparatura doświadczalna, odpowiednio uregulowana i samoczynnie włączająca się na określony czas działania, pozwalała na przemieszczanie się obiektu w czasie kilkusekundowym zarówno do przodu, jak i wstecz. W każdym razie tak to wyglądało, gdy odczytywałem i porównywałem wskazania umieszczonego wewnątrz stopera i zegarka z innymi czasomierzami. Myszki w słoju umieszczone w mojej maszynie czasu nie odniosły żadnych obrażeń, a to oznaczało, że i ja mogłem nie obawiać się tej podróży.

Prace nad tymi wynalazkami trwały prawie pięć lat i kosztowały mnie dużo trudu, wyrzeczeń oraz pieniędzy. Ale ostatecznie udało mi się zbudować odpowiednią aparaturę, z wbudowanym w nią czasomierzem, regulującym przemieszczanie się wehikułu w tunelu czasowym. Całe to urządzenie, umieszczone w średniej wielkości drewnianej skrzyni, było zdublowane, co miało uchronić osobę podróżującą w czasie od niespodzianek. Skrzynia posiadała odpowiednie zabezpieczenia i kamuflaż chroniący wewnętrzne mechanizmy przed wścibskimi spojrzzeniami ludzi.

Właściwy, większy wehikuł, mogący pomieścić kilka osób i spory ładunek, został przeze mnie skonstruowany w sposób umożliwiający przeskok tylko w jeden zaprogramowany czas; powrót do miejsca startu następował po przestawieniu biegunów w urządzeniu zasilającym aparaturę. W trakcie prowadzonych eksperymentów zaobserwowałem także, że istnieje coś w rodzaju czasu indywidualnego, co powodowało, że czas przebyty po przesunięciu się wstecz odejmował się lub dodawał po powrocie do teraźniejszości, co powodowało, że nie można się było znaleźć jednocześnie w tym samym miejscu i czasie.

Jak to całe odkrycie naukowo wytłumaczyć, nie miałem zielonego pojęcia. Nie zamierzałem tego dochodzić, ponieważ równałoby się to ujawnieniu tajemnicy, a tego nie chciałem. Jednak urządzenie działało, aparatura była sprawna, konlator sam się ładował, a wehikuł czekał na swoją pierwszą daleką i odkrywczą podróż w inną czasoprzestrzeń. Zastanawiałem się później wielokrotnie, czy mojego odkrycia nie ujawnić lub czy go nie opatentować. Za każdym razem do-

chodząc jednak do tego samego wniosku, że jednak nie ujawnię i nie sprzedam mojego wynalazku, ponieważ miałem przeświadczenie, że ślad po nim zaginie, a ja na tym nie doś, że nie skorzystam, to mogę mieć tylko same kłopoty.

Jak już wspomniałem, wehikuł, którym zamierzałem dokonać przeskoku do innego czasu, był specjalnie skonstruowanym wielowarstwowym namiotem, skrojonym z metalicznego jedwabiu. Przy jego konstrukcji wykorzystałem doświadczenia prowadzone z małym namiotem wehikułem. Właściwa aparatura nie była duża i jak już wspomniałem, wykorzystywała moc uzyskiwaną ze skondensowanej energii konlatora, która pozwalała na wytworzenie się szczególnego procesu fizycznego. Był nim cykl następujących szybko po sobie wyładowań elektrycznych dużej mocy, pojawiających się przy rozładowywaniu się pioruna kulistego. Skonstruowane przeze mnie urządzenie kontrolowało i wzmacniało ten proces, powodując jego ciągłość, aż do czasu całkowitego rozładowania się konlatora, które trwało w tym wypadku siedemnaście minut, jak to już później podczas pierwszego przeskoku w czasie sprawdziłem. Energia elektryczna poprzez aparat była kierowana do sieci przewodów oplatających namiot-wehikuł, a nimi do substancji stanowiącej powłokę kolejnych ścianek wewnętrznych namiotu, które zostały powleczone nowo odkrytą substancją i przewodziły energię elektryczną, działając jak odpychające się magnesy o tych samych biegunach. Oczywiście, wewnętrzne i spodnie części namiotu były także specjalnie izolowane, z tym że dolna jego część była specjalnie wzmocniona, aby mogła udźwignąć stawiane tam przedmioty. Pomiędzy ściankami tego magnetycznego kokonu ochronnego tworzyło się właściwe pole energetyczne, chronione warstwą gazową helu. Rozchodząca się w ten sposób olbrzymia energia pozwalała na wytworzenie się na obrzeżach namiotu bąbla energetycznego o dużej mocy, który umożliwiał przerzucanie wehikułu wraz z zawartością w tunelu czasoprzestrzennym do zaprogramowanego czasu lub do innej przestrzeni wyznaczonej przez trwałe rozładowanie się konlatora.

Czy to było możliwe? Osoby, które utrzymywały, że widziały UFO, często relacjonowały to zdarzenie jako duże, świecące kule, o średnicy piętnastu–dwudziestu metrów. Kule te pojawiały się znikąd i w taki sam sposób znikwały, tak jakby wypływały z innego czasu lub przestrzeni. Takie informacje można znaleźć we wspomnianych wcześniej książkach Ericha Von Dänikena oraz w publikacjach innych autorów. Więc może to się w taki właśnie sposób odbywało?

Energia powodująca transfer była skondensowana w konlatorze, który stanowił bardzo istotną część wehikułu. Sterowany przez aparaturę rozładowywał się w ciągu siedemnastu minut poza namiotem, jednak jego ponowne naładowanie było niezwykle łatwe i szybkie, polegało bowiem tylko na otworzeniu specjalnego otworu w skrzynce urządzenia, przez które substancja, która stanowiła zasadniczy składnik konlatora, sama już ściągała energię z atmosfery lub z ziemi. Pełne naładowanie sygnalizowało zapalenie się małej lampki umiesz-

czonej na jego obudowie. Wtedy otwór przeznaczony do poboru energii zamykał się automatycznie i uszczelniał, uniemożliwiając tym samym niekontrolowane rozładowanie. Sam proces ładowania trwał, w zależności od warunków pogodowych, od trzydziestu do sześćdziesięciu pięciu minut, czyli był bardzo szybki.

Urządzenie to miało jednak i swoje wady, ponieważ konlator rozładowywał się już po kilkunastu minutach, a raz uruchomionego procesu kontrolowanego wyładowania nie można było zatrzymać, aż do ostatecznego zużycia się zasobów energii. Wynikało zatem z tego, że właśnie ten odcinek czasu, trwający od uruchomienia procesu aż do jego zakończenia, stanowi o przerzucie w inną przestrzeń lub czas. Ze względów bezpieczeństwa postanowiłem zabierać do wehikułu dwa takie konlatory, aby w razie wystąpienia kłopotów mieć możliwość w miarę szybkiego powrotu.

Do pierwszej eksperymentalnej wyprawy w czasie długo się przygotowywałem. Miotaly mną też rozterki duchowe, ponieważ taka podróż mogła się skończyć dla mnie tragicznie. W pierwszej kolejności przewertowałem mapy i książki geologiczne odnoszące się do terenów polskich. Uzupełniłem także wiadomości z historii. Musiałem przecież wiedzieć, gdzie mogę wylądować i co mnie czeka. Mimo wszystko obawiałem się, że zamiast cofnięcia się w czasie mogę trafić do innego równoległego czasu lub czasoprzestrzeni. Istnienie takich światów alternatywnych opisała w swojej książce *Skrzyżowanie światów* Andre Norton. Autorka wymyśliła zróżnicowanie poziomów życia – dla niej podróże w czasie nie ograniczały się do przeniesienia w przód lub wstecz, ale także odbywały się w poprzek. Podróże tego rodzaju umożliwiała platforma czasu, która przenosiła na swoim pokładzie podróżników na inny poziom czasowy.

Gdyby się mimo wszystko okazało, że światy takie istnieją, to wtedy cała moja wiedza historyczna, przyrodnicza i geograficzna byłaby nieprzydatna. Wyglądałoby to bowiem tak, jakbym wylądował na innej planecie i nie było wcale pewne, że atmosfera tego nowego świata będzie nadawała się do oddychania, a nowe środowisko będzie przyjazne dla istot mojego rodzaju. Starłem się wyobrazić sobie takie sytuacje i odpowiedzieć sobie na pytanie, jak powinienem w nich postąpić. Po dłuższych rozważaniach wyimaginowanych możliwości odsunąłem na bok niewesołe myśli. Mimo wszystko czułem podświadomie, że wehikuł przeniesie mnie przez tunel czasoprzestrzenny w świat Europy nie wcześniejszy niż z okresu trzeciorzędu. Bynajmniej tak to wyglądało z moich wyliczeń. Nie wiem, która to będzie epoka, wcześniejsza czy późniejsza, ale powinienem być odpowiednio przygotowany na taką sytuację. Potrzebne mi zatem będą dogłębne informacje o epokach tego okresu geologicznego, w celu przybliżenia sobie obrazu tych terenów oraz występującej flory i fauny. Aby zrealizować swoje zamierzenie, zmuszony byłem do odwiedzenia wielu czytelni naukowych oraz ślęczenia przy komputerze i przeszukiwania Internetu. Ostatecznie, po dłuższych poszukiwaniach, przygotowałem sobie specjalne zestawienie okresów transgresji i regresji morza na obecnych ziemiach polskich w kenozoiku, co

przedstawiłem w sporządzonej dla moich celów tabeli stratygraficznej. Pojawił się przy tym pewien kłopot, ponieważ w przeglądanych wydawnictwach i materiałach naukowych zarówno nazewnictwo, jak chronologia er, okresów, epok i pięter geologicznych opisywane były odmiennie.

Wpływ na budowę geologiczną i urozmaicenie krajobrazu Polski wywarło zetknięcie się na jej terytorium trzech głównych struktur tektonicznych Europy: prekambryjskiej platformy wschodnioeuropejskiej, młodej platformy paleozoicznej Europy Zachodniej i Środkowej oraz strefy fałdowań alpejskich Europy Południowej.

Publikacje geologiczne, z których korzystałem, dowodziły, że w eocenie i oligocenie niemal cały nasz kraj był zalany morzem, z którego wynurzały się szczyty Karpat oraz wyżyny. Należy jednak pamiętać, że morze zalewało tereny obecnej Polski aż od czasów prekambriu. Prawdopodobnie też jakieś 23 miliony lat temu utworzył się już w Sudetach wulkaniczny stożek Góry Św. Anny. W starszych epokach trzeciorzędu, prawdopodobnie w górnym oligocenie i częściowo już w dolnym miocenie, na obszarze obecnych Karpat utworzyło się rozległe zapadlisko tektoniczne związane z basenem morskim Paratetydy.

Gdyby nanieść kontury tego morza z zamierzchłych epok na dzisiejsze mapy, to zajmowałoby ono obszar rozpościerający się pomiędzy dzisiejszymi miastami: Krapkowicami, Gliwicami, Krakowem i Przemyślem. W epoce górnego miocenu, zwanego tortonem, wody niniejszego morza w swoim największym zasięgu rozlały się jeszcze płytko na południowo-zachodniej części Płyty Lubelskiej, osiągając mniej więcej linię Lublin–Chełm, aby w kolejnej epoce wycofać się ku wschodowi. Ostatecznie morze to rozpadło się na szereg izolowanych akwenów o różnym stopniu zasolenia i zmiennych warunkach fizykochemicznych. W czasach obecnych morfologiczne odzwierciedlenie tego zapadliska stanowi obszar Kotliny Sandomierskiej.

Tak przedstawiała się sytuacja na południu Polski, jednak okres ustępowania morza na obszarze Polski środkowej rozciągnął się w czasie i trwał od górnego miocenu, aż po dolny pliocen. Prawdopodobnie ustąpiło ono całkowicie z Wyżyny Krakowskiej dopiero w epoce czwartorzędu, czyli mniej więcej około miliona lat temu. W środkowym pliocenie w okresie tzw. fazy rodańskiej orogenezy¹⁵ alpejskiej, wskutek ruchów tektonicznych obejmujących cały obszar Polski, wypiętrzeniu uległy południowe i północne jej krańce w obecnych granicach, a pomiędzy nimi powstało rozległe obniżenie, znane także jako Depresja Środkowej Polski. Ruchy wznoszące tego piętra geologicznego miały decydujący wpływ na utworzenie w ogólnych zarysach krajobrazu dzisiejszej Płyty Lubelskiej, jak również i masywu Tatr. Tatry zostały wtedy wydzwignięte do ponad 2500 metrów nad poziom morza, Beskidy do ponad 1000 metrów, wyniesie-

¹⁵Orogeneza – okres globalnych fałdowań górotwórczych

Okres:	czwartorzęd (Antropozoik)
Epoka:	holocen – trwający do dziś plejstocen od 1,806 do 0,011 mln – łąd
Okres:	trzeciorzęd
Epoka:	neogen (trzeciorzęd górny)
piętra:	– pliocen górny (<i>Piacent, Gelas</i>), do 2 mln lat – łąd – pliocen dolny (<i>Zankl</i>), do 3,6 mln lat – łąd – miocen górny (<i>Torton, Messyn</i>), do 5,3 mln lat – morze/łąd? – miocen środkowy (<i>Lang, Serrawal</i>), do 11,5 mln lat – morze/łąd – miocen dolny (<i>Akwitan, Burdygal</i>), do 16 mln lat – morze/łąd
Epoka:	paleogen (trzeciorzęd dolny)
piętra:	– oligocen dolny (<i>Rupel</i>); górny (<i>Szat</i>), do 28 mln lat – morze/łąd – eocen dolny (<i>Iprez</i>), środkowy (<i>Lutet, Barton</i>); górny (<i>Priabon</i>), do 37 mln lat – morze/łąd – paleocen dolny (<i>Dan</i>), górny (<i>Zeland, Tanet</i>), od 65 do 56 mln lat – morze/łąd
Era:	Kenozoiczna Okres: od 65 mln lat do obecnej epoki
Era:	Mezozoiczna Epoka: kreda górna, od 99,6 do 65 mln lat – morze

Zródło:

http://pgi.gov.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=1561&Itemid=597

http://pl.wikipedia.org/wiki/Tabela_stratygraficzna

niu uległy także Sudety i wyżyny środkowopolskie, natomiast obniżeniu uległy w tym okresie obszary obejmujące obecne Podhale i Doły Jasielsko-Sanockie.

W omawianych epokach nie istniała jeszcze depresja Bałtyku, a na terenach, które teraz to morze zajmuje, w jego południowej części rozpościerał się rozległy łąd, lekko nachylony ku południu, w kierunku obniżen obejmujących strefę środkowej i północnej Polski. Ówczesna rzeźba terenu spowodowała zmianę kierunku rzek, których wody spływały wtedy zgodnie ze spadkiem terenu z północy na południe, czyli odwrotnie niż obecnie. Z tego właśnie powodu w centralnej części dzisiejszej Polski utworzył się w pliocenie rozległy zbiornik wodny o charakterze zastoiska, do którego spływały wody zarówno z południa, jak i z północy, między innymi z obszaru Skandynawii i dzisiejszej Estonii. To olbrzymie rozlewisko nazwano Depresją Centralną, z Niecką Wielkopolską i Niecką Mazowiecką. Na północy ta depresja sięgała prawie do 54. stopnia szerokości geograficznej północnej, a zawierała się pomiędzy 15. a 23. stopniem długości geograficznej wschodniej. Od południa ograniczały ją Sudety, a od-

dzielał od wału metakarpackiego, wcinający się prawie do 53. stopnia szerokości geograficznej północnej, wał kujawsko-pomorski.

Depresja Centralna stanowiła pozostałość po jeszcze wcześniejszym morzu, które pozostawiło po sobie ślady w postaci olbrzymich rozlewisk i mokradeł. Skąd wiadomo, że były tam takie rozlewiska. Otóż istnienia takich olbrzymich i głębokich jezior z epoki pliocenu rozlewających swe wody na znacznej części obecnej Niziny Wielkopolsko-Kujawskiej o powierzchni przekraczającej obszar jednej czwartej obecnego Bałtyku (czyli około 100 tys. km²) dowodzą pozostawione przez nie ślady w postaci tak zwanych ilów poznańskich o miąższości pokładów dochodzącej nieraz do 60, a nawet i do 120 metrów.

Gdyby udało się spojrzeć na te skupiska wód z lotu ptaka, to okazałyby się, że przypominały z wyglądu dwa duże, połączone ze sobą na północy kleksy. Spływały do tych jezior liczne rzeki, a małe nachylenie terenu powodowało, że ich wody toczyły się leniwie w swoich korytach. Rzeki te znosiły ogromne masy piaszczystego materiału, a razem z nim pnie, gałęzie i liście drzew porastających w ówczesnej epoce bujnie brzegi jezior oraz inne szczątki roślinne, a także zwierzęce. Tych roślinnych szczątków było tak dużo, ponieważ w tamtych epokach panował klimat o wiele cieplejszy niż obecnie, co szczególnie sprzyjało bujnemu rozrostowi roślinności. W nizinym terenie, wzdłuż biegu rzek i w innych podmokłych miejscach tworzyły się rozległe moczarzyska i trzęsawiska zarastające torfem, na które z biegiem czasu wody naniosły masy piasku. Należy przy tym pamiętać, że to były inne rzeki niż obecnie nam znane, ponieważ nie jest znany bieg dolin rzecznych z tej epoki. W tym czasie nie istniała także nasza rzeka Wisła ani jej przełom przez wyżyny środkowopolskie. W taki właśnie sposób kształtowała się rzeźba środkowej Polski.

W pliocenie następuje już jednak stopniowe ochłodzenie klimatu, które zakończy się w przyszłości następującymi po sobie zlodowaceniami, zanikiem egzotycznych gatunków flory i fauny. Znikną laury, cynamony i woskownice, a pojawią się drzewa takie jak świerk, jodła i sosna, a także bukszpan, liguster, cis i jałowiec sawiny. Mimo postępującego ochłodzenia we wcześniejszej epoce pliocenu na terenach Europy Środkowej panował jeszcze klimat na tyle ciepły, że można go było porównywać z obecnie panującym klimatem śródziemnomorskim i tym z północnej części Afryki.

W pewnych epokach miopliocenu na rozległych terenach Europy rozprzeździł się step, na którym tylko obszary rozciągające się wzdłuż rzek były pokryte zaroślami i lasami. Informacje o takim, a nie o innym obrazie tamtejszych krajobrazów pochodzą z prac prowadzonych przez specjalistów nauk geologicznych i innych. Hipotezę, że tak właśnie było, poświadczały pozostałości zwierzęce znajdowane podczas prowadzonych prac odkrywczych, związanych z określonymi epokami geologicznymi. Najczęściej znajdowano szczątki zwierzęce i inne pozostałości mieszkańców stepów, chociażby takich jak norniki i ślepce, natomiast w miejscach dawnych lasów i zarośli odkrywano ślady polatuch i wie-

wiórek, a także myszy, jeleni i jenotów oraz niedźwiedzi. Nie były w tym czasie spotykane wilki, które są gatunkiem stosunkowo młodym, na co wskazują ich pierwsze szczątki znalezione dopiero w pokładach późno-plejstocenijskich. Można było natomiast spotkać zwierzęta z rodziny psów, gdyż ich pierwsze szczątki datują się na dolny pliocen. Wydaje się także, że rzeki tej podepokiby obfitowały w ryby oraz żółwie wodne, a także beznogie jaszczurki.

A więc być może to tak powinna wyglądać mapa ówczesnych terenów Polski. Rysował się zatem przede mną interesujący obraz przeszłości, do którego miałem możliwość dotarcia. Ja jednak miałem inny problem do rozstrzygnięcia: rozważałem mianowicie, jak daleko w czasie powinienem się cofnąć swoim wehikułem, chcąc uniknąć wylądowania w morzu, jeziorze lub w bagnie. Byłem zdania, że powinien to być okres nie wcześniejszy niż dwa–cztery lub sześć–siedem milionów lat temu, ale zupełnie nie wiedziałem, jak daleko w przeszłość otworzy się tunel czasowy mojego wehikułu. Nie miałem bowiem pełnej możliwości sterowania czasem. Wehikuł zatrzymywał się wtedy, kiedy następował koniec dopływu energii z konlatora, a jej dopływu oraz wylądowania nie można było powstrzymać. Gdyby ten czas rozładowania się urządzenia był sztucznie sterowany, to z powodu niedoskonałości aparatury nigdy nie byłoby wiadome, czy tunel czasoprzestrzenny zamknie się lub otworzy w tym samym czasie i miejscu, do którego się zdążało.

W trakcie dalszych przygotowań do transferu zaopatrzyłem się w odpowiedni sprzęt turystyczny: plecak, namiot, śpiwór, naczynia kuchenne, szpadel, siekierę, noże (w tym maczetę), piły i inne narzędzia, a przede wszystkim broń palną. No przecież jakąś strzelbę musiałem zabrać ze sobą, nie wyobrażałem sobie bowiem, jak mógłbym strzelać z łuku zabić lub odstraszyć jakiegoś trzeciorzędowego drapieżnika. Broń taka nie była trudna do zdobycia, musiała jednak pochodzić sprzed roku 1850, na co zezwalały obowiązujące w tym względzie przepisy prawa polskiego. Przeglądając odpowiednie czasopisma, strony internetowe oraz odwiedzając sklepy oferujące starodawną broń palną, mogłem się coś niecoś zorientować w wyborze odpowiedniego sprzętu. Okazało się także, że gładkolufowe i jednolufowe strzelby śrutowe oraz dwulufowe tzw. dubeltówki są zazwyczaj sprzedawane w kalibrze 12¹⁶, co w przeliczeniu na nomenklaturę wojskową daje kaliber broni równy 18,2 milimetra. Mimo wszystko była to jednak broń strzelająca dużymi pociskami.

Dlaczego zainteresowałem się taką bronią palną, a nie inną? Po pierwsze, broń taką mogłem kupić legalnie, bez pozwolenia. Po drugie, choć wydawać by się mogło, że broń, która już dawno wyszła z użycia, w porównaniu ze współczesnymi karabinami jest mało skuteczna i niecelna, nie było to jednak zgodne z prawdą. Donośność karabinów i strzelb kapiszonowych sięgała do około dwóch

¹⁶Jest to tradycyjny wagomiarowy sposób określenia kalibru broni myśliwskiej, oznaczający, że z jednego funta angielskiego ołowiu można odlać dwanaście kul pasujących do lufy broni. Kaliber 12 oznacza więc średnicę takich kul.

kilometrów, co dla mnie było w zupełności zadowalające. Na przykład używane w przeszłości karabiny kapiszonowe Witwortha pozwalały na oddanie celnych strzałów na odległość tysiąca jardów (924 metry), a na dystansie pięciuset jardów skupienie ognia dla tego karabinu wyniosło trzydzieści centymetrów.

Ostatecznie broń palną (była to kapiszonowa myśliwska strzelba dubeltowa z orzechowym łożem, wyprodukowana we Francji lub Belgii około 1850 roku) nabyłem przez Internet, natomiast dwie maczety kupiłem w sklepie z białą bronią. Oba te nabytki doprowadziłem do stanu używalności: maczety naostrzyłem, strzelbę oczyściłem i wszystko odpowiednio naoliwiłem. Amunicję do kapiszonówki stanowiły ołowiane kule o dużym kalibrze, z wgłębieniem z jednej strony, które wytopiłem sobie w domu z kupionej dużej sztaby ołowiu. Udało mi się także zdobyć czarny proch niezbędny do ładowania strzelby oraz wiele pudełek kapiszonów, natomiast papierowe przybitki sporządziłem sobie sam z makulatury. Musiałem używać prochu czarnego jako ładunku miotającego, ponieważ nowe rodzaje prochu miały większą siłę rozprężania, a tym samym mogłyby okazać się zabójcze dla tej starej broni i rozerwać jej lufę lub zamek.

Tak więc nie byłem już bezbronny, a do przygotowywanego ekwipunku dołączyłem lornetkę, kilka małych nożyków, z których można było zrobić ostrza do włóczni, oraz kompas. Ponadto kupiłem spinning oraz wędkę z zestawem żyłek i haczyków, a także spławików. Do wyposażenia dołączyłem kilka zapalniczek, wiele pudełek zapalek, zamkniętych szczelnie w pudełku plastikowym, oraz lupę, która mogła służyć mi także do rozniecania ognia. Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się również w krzesiwo, które zupełnie przypadkowo odkryłem w sklepie sportowym. Nie zapomniałem także o odzieży, zabrałem ponadto kalosze, buty traperskie, tenisówki, klapki, a także apteczkę z zestawem bandaży, opasek i leków. W piwnicy bloku na Ursynowie odszukałem stary ponton z wiosłami, który po zapakowaniu przeobraził się w niewielkie pudło. Zabrałem też przybory toaletowe oraz niezbędne książki z zakresu botaniki i życia roślin.

Postępowanie moje miało na celu zgromadzenie niezbędnych materiałów umożliwiających mi przeżycie – przecież nie byłem całkowicie pewny, czy uda mi się z tej wyprawy powrócić. Świadom tego, sporządziłem nawet testament, który pozostawiłem u notariusza z odpowiednimi zaleceniami.

Tak wyekwipowany zarówno od strony teoretycznej (mapa czasowa), jak realnej (ekwipunek) poddałem weryfikacji miejsca, w którym powinienem wypróbować mój wehikuł czasu. Po przeprowadzeniu wielu wizji lokalnych w różnych znanych mi miejscach uznałem, że najlepszym „polem startowym” dla niego będzie znany mi z dzieciństwa las w Cegłowie.

Las ten porastał Wysoczyznę Siedlecką i ciągnął się prawie nieprzerwanie wzdłuż linii kolejowej Mińsk Mazowiecki – Siedlce. Wędrując w latach dzieciństwa po tym lesie, dość często napotykałem enklawy drzew liczące grubo więcej niż sto lat, czasami nawet udało mi się napotkać drzewa dwustuletnie. Najczęściej były to sosny, dęby i modrzewie, ale można tu było spotkać także dorodne

świerki i jodły. Z innych drzew rosły tu graby i leszczyny, a w najniższej warstwie lasu panoszył się widłak i różne odmiany mchu. Rosły tu także w enklawach piękne wysokie paprocie. Specjalnie wydzieloną część tych lasów przeznaczono na rezerwat „Jedlina”, gdzie teren około trzynastu hektarów zarastał zwarty las jodłowy, taki sam jak w Puszczy Jodłowej w Górach Świętokrzyskich. Mając na uwadze niezwykle piękno tych terenów oraz w celu ochrony walorów przyrodniczych tych obszarów po roku 2000 około trzech piątych obszaru gminy Cegłów włączono w obszar Mazowieckiego Krajobrazu Chronionego. Z opowiadań dziadków wiedziałem, że wcześniej Cegłów nosił inną nazwę – Czebrowo, a wieś stanowiła własność kościoła augustianów w Warszawie, oddaną im przez książąt mazowieckich jako uposażenie. Miejscowość ta po nadaniu w roku 1621 praw miejskich przez króla Zygmunta III Wazę uzyskała status miasta. Niestety, utraciła go w roku 1869, w wyniku decyzji administracji carskiej, jako karę za pomoc udzielaną powstańcom 1863 roku.

Pamiętam z lat dzieciństwa, że widziałem taki powstańczy cmentarz na polach mieszkańców osady zwanej wcześniej Mienią pod Cisiem, przyłączonej po drugiej wojnie światowej do Cegłowa. Wcześniej była to leśna polana z drewnianym krzyżem strzegącym tego miejsca, otoczona potężnymi sosnami, które w latach późniejszych wycięto, tak samo zresztą jak stare, kilkusetletnie dęby i inne wiekowe drzewa, którymi była obsadzona wiejska droga. Cmentarz został zapomniany, krzyż się rozpadł ze starości, a sama osada także ucierpiała, bowiem została ona w czerwcu 1943 roku spacyfikowana i spalona przez Niemców za pomoc udzielaną Żydom. Gdzieś obok tego miejsca wypływał mały strumyczek zwany Czarną Wodą, później zostało z jego źródła tylko stale podmokłe miejsce. Podczas oczyszczania starej studni, pamiętającej dawne czasy, wykopanej przy zabudowaniach znajdujących się na wysokości tego cmentarza, znaleziono broń powstańczą, wrzuconą do niej w obawie przed nadciągającym znieścacka oddziałem kozackim.

Wybrałem teren Wysoczyzny także z tego powodu, ponieważ wydawało mi się, że na wzniesieniu miałem mniejsze prawdopodobieństwo trafienia po transferze na rozlewisko lub jezioro, poza tym znałem dobrze ten las i miałem pewność, że znajdę dobre, nieuczęszczane przez ludzi miejsce przerzutowe. Zdawałem sobie jednak sprawę, że lodowiec, który nasunął się w czwartorzędzie na ziemię obecnej Polski, pokrył jej teren grubymi pokładami piachu i żwiru, a tym samym zmienił całkowicie wcześniejsze ukształtowanie tych terenów. Las, który porastał wybrany teren, przecinało wiele leśnych dróg, w tym dwie asfaltowe. Jedna z nich łączyła Cegłów z Rososzą, druga Posiadały z Cegłowem. Drogi te przecinał leśny dukt wiodący ze stacji PKP Mienia aż do miejscowości Mrozy.

Po rozwiązaniu najważniejszych spraw technicznych i po wstępnie dokonanym rozpoznaniu przewidywanego terenu, na którym przyjdzie mi się znaleźć po transferze, musiałem teraz znaleźć czas na moją podróż. W tym też celu wystąpiłem o urlop wypoczynkowy w pracy i szczęśliwie otrzymałem go w za-

planowanym przeze mnie terminie. W trakcie trwających przygotowań do eksperymentalnej podróży powiadomiłem moją byłą żonę oraz syna, że wyjeżdżam na dłużej. W przeddzień wyjazdu spakowałem swoje rzeczy i z pełnym plecakiem pojechałem do Halinowa na moją farmę. Już wcześniej przewiozłem tam wiele przydatnych dla mnie rzeczy, tak że mój ekwipunek powinien być wystarczający. Na farmie przygotowałem się do dalszej podróży, to znaczy jeszcze raz sprawdziłem i spakowałem namiot-wehikul i kufer z zakamuflowaną aparaturą, przygotowałem do podróży wyposażenie, następnie po zamknięciu domku i ogrodzenia całość bagażu, dzięki uczynności sąsiada, który użyczył mi swojego samochodu, przewiozłem na stację PKP w Halinowie. Było tych rzeczy sporo i musiałem udzielać wymijających odpowiedzi, po co mi to wszystko i gdzie się właściwie wybieram. Sąsiad pomógł mi się wyładować i przenieść bagaż na peron, a później czekał na mnie, aż wykupiłem bilet w kasie. Gdy stanąłem wreszcie na peronie, było już bardzo późno, dużymi krokami nadciągała noc. Czekałem na peronie około dwudziestu minut, a gdy wreszcie nadjechał mój pociąg – załadowałem się z bagażem do pierwszego wagonu, po to, aby widział mnie maszynista i pozwolił mi spokojnie wsiąść. Uporałem się ze wszystkim i spocony zająłem miejsce na ławce. Za chwilę pociąg ruszył, a ja uspokojony już i szczęśliwy, że pomyślnie zabrałem się z moimi rzeczami, oddałem się chwilowej drzemce.